

Są odejścia, które stanowią nowy rodzaj obecności

IWONA PŁOTKA

To miał być miły i spokojny wieczór z książką w ręku, bowiem pogoda stanowczo nie zachęcała do opuszczania przytulnego mieszkania. Ciężkie krople deszczu od samego rana bębniły o parapety i wywoływały w moim sercu dziwny niepokój. Nie byłam w stanie w pełni skoncentrować się na żadnej, nawet najbardziej błahej, czynności. Czułam, że muszę wyjść, że muszę opuścić domowe pielesze, by przeżyć coś niezwykłego. Przy kolejnej próbie zrobienia czegoś konstruktywnego, nagle uświadomiłam sobie, że tego dnia miała odbyć się pewna konferencja z dziedziny teologii. Nie zastanawiając się nawet minuty, ubrałam pierwsze lepsze rzeczy, chwyciłam parasol i beztrosko krzyknęłam do mamy „No to na razie!”

Na miejsce dotarłam przemoczona do suchej nitki. Powitał nas karmelita, który wygłosił krótką przemowę. Zakonnik już miał oddać głos prelegentowi, gdy nagle ni stąd ni zowąd postanowił dopowiedzieć jeszcze jedno zdanie do swojej wygłoszonej przed chwilą mowy: „Są odejścia, które stanowią nowy rodzaj obecności.”

„REWELACJA!” – wymknęło mi się z ust, co trochę obruszyło siedzącą koło mnie Panią w średnim wieku... Nie przejmowałam się tym jednak, bo właśnie usłyszałam zdanie, które okazało się być balsamem dla mojej poranionej duszy.

Ale dlaczego zdanie to akcentuje, że nie wszystkie odejścia są nowym rodzajem obecności? I przede wszystkim – jak to się dzieje, że można odejść i nadal być obecnym?

Sprawdziłam, co na ten temat ma do powiedzenia słownik języka polskiego. Otóż okazuje się, że słowo „odchodzi/odejść” przypisano aż piętnaście znaczeń, z których pięć nie dotyczy człowieka, dziewięć ma zabarwienie negatywne (np. „porzucić kogoś, z kim się było związanym”), a tylko jedno można uznać za pozytywne, a mianowicie: „zostać odjętym z jakiejś całości z określonym przeznaczeniem”.

I tym ostatnim wyjaśnieniem chciałabym się zająć, ponieważ znakomicie pasuje do poruszonego przede mną problemu. Swoją drogą jest ono genialne!

Któż tego nie zna – wyprowadzka przyjaciela, śmierć członka rodziny, rozstanie z bliską nam osobą ze względu na jej wymagające zmiany trybu życia powołanie... Przykładów odejścia o zabarwieniu pozytywnym, to znaczy dokonanych w przyjaźni i spowodowanych wyższą koniecznością, można mnożyć. Wszystkie one mają cechę wspólną – są niezależne od nas.

Jak to? Przecież nie trzeba się wyprowadzać. – stwierdzi ktoś ze zdziwieniem. A właśnie, że są takie sytuacje, gdy trzeba. Mogą one być spowodowane zmianą pracy albo zbyt ciasnym mieszkaniem. Nie zmienia się miejsca zamieszkania bez powodu, tak sobie. Co do powołania – za tym stoi tylko i wyłącznie Pan Bóg, a jak On czegoś chce, to nie ma rady, należy Jego pragnienie zaspokoić. W przeciwnym razie będziemy niespełnieni i nie-szczęśliwi. Kwestii śmierci chyba wyjaśniać nie muszę...

Czy w każdym z tych przypadków tracimy daną osobę? Absolutnie nie!



Ośmielę się nawet powiedzieć, że relacja z nią staje się głębsza i jeszcze bardziej zażyła. To znaczy może się taka stać...

Wszystko zależy od nas. Mamy przecież wolną wolę i od razu możemy taką relację spisać na straty. No bo jak tu pielęgnować znajomość z osobą, której przy nas nie ma? To przecież bez sensu. Tyle się mówi, że przyjaźń albo miłość na odległość to mit. Strata nerwów i czasu. Lepiej poszukać sobie kogoś nowego.

No pewnie... Wymienić człowieka na lepszy model... Nie, nigdy nie zaakceptuję takiego postępowania – albo jest przyjaźń albo jej nie ma. Żadnych kalkulacji, proszę. Trzeba się trochę wysilić i zatroszczyć o skarb, który się znalazło. W życiu stawia się wszystko na jedną kartę, nie kombinuje, nie idzie na łatwiznę. Bo jeśli będziemy sobie robili listy „za i przeciw” albo obstawiali, co się opłaca a co nie, to przegramy wszystko. Przegramy całe swoje życie.

Można też wpaść w historię (mój wioleciński sposób postępowania – nie polecam...), tzn. rzucić się na łóżko i średnio przez dwa tygodnie szlochać w poduszkę robiąc przy tym Panu Bogu żalosne zarzuty: „Nie wiem, jaki masz w tym cel, ale moje słabe serce tego nie wytrzyma!” A potem, przez około dwa lata, rozpamiętywać „stare dobre czasy” i do końca życia pozostać smutnym. Kiepskie...

Jest jeszcze trzecie wyjście – można dostrzec PIĘKNO i POTENCJAŁ rozstania. Wystarczy dokładnie przeczytać przywołaną już definicję odejścia: „zostać odjętym z jakiejś całości z określonym przeznaczeniem”.

Odhodząca osoba ma do spełnienia jakieś zadanie, ma cel, który musi (a w zasadzie powinna) zrealizować. „Zostać odjętym” – strona bierna wskazuje tu na jakąś siłę wyższą. Dla wierzących będzie to Bóg, dla niewierzących jakaś niezidentyfikowana siła wyższa... W każdym bądź razie trzeba zrozumieć, że bliska nam osoba ma do wykonania coś ważnego. Pozwólmy jej na to.

My natomiast także stajemy się częścią tej „misji”. Oczywiście pod warunkiem, że nie zakańczamy znajomości... Ale już odradzałam popełnienie tego niecnego czynu. Tak więc zarówno nasz bliski, jak i my stajemy się wykonawcami czegoś istotnego. Nie

można udzielić jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czym jest to „coś istotnego”. W tym celu każdy z nas powinien przyjrzeć się własnemu życiu i oddać głębokiej refleksji.

Ja już wiem, dlaczego Bóg pozwolił „odejść” najbliższej memu sercu osobie... Jeszcze parę miesięcy temu chodziłam nieprzytomna z jedną jedyną myślą w głowie: „Dlaczego?!” A teraz już wiem – Stwórca jak zwykle ma całą tę sytuację pod kontrolą. Widzę zarysy tego, co przygotował, choć zdaję sobie sprawę, że wszystkiego przewidzieć i przeczuc nie mogę.

Oczywiście czeka mnie dużo pracy, wysiłku i codziennego pokonywania siebie. To nie ulega wątpliwości. Muszę systematycznie dbać o naszą relację i każdego dnia się za nią modlić. Inaczej nie będzie dobrze. Wiem, że przyjdą chwile zwątpienia, bo szatan nie śpi. Ale wszystko to przetrzymam, bo mam Boga i znam cel mojego wysiłku.

„Są odejścia, które stanowią nowy rodzaj obecności” – jakże się cieszę, że Bóg pozwolił tej osobie odejść! Tak, tak. Bo właśnie w tym oddaleniu możemy w pełni realizować nasze życiowe powołania. W tym oddaleniu możemy wzrastać. W tym oddaleniu możemy dokonać czegoś wielkiego i wzniosłego. W tym oddaleniu możemy lepiej poznać siebie nawzajem. Siebie samych zresztą też...

I jeszcze jedno – uświadomiłam sobie, że cały czas czuję obecność tej osoby. Myślę o niej każdego dnia, wszystko, co robię odnoszę do niej. I do Pana Boga, oczywiście.

Dalej jesteśmy ze sobą. Tylko inaczej. Spotykamy się poprzez modlitwę i czynności, które wykonujemy pod wpływem naszych rozmów. Nasza więź się umacnia, bo łączy nas Pan Bóg. I nie obchodzi nas ten świat – czy będziemy tu nieustannie koło siebie, czy w oddali. Nawet śmierć jednego z nas nie jest nam straszna. Bo cóż zmieni śmierć? Co najwyżej to, że umarły jest z nami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tylko go nie widzimy...

Nas interesuje jedynie Wieczność, dlatego wypielniamy Bożą wolę i troszczymy się o zbawienie swoje oraz innych. Na nieustanne bycie koło siebie przyjdzie czas – tam u góry będzie go aż nadto...

Śmierć i modlitwa

KAJA WISZNIEWSKA MAZGIEL

Przez chwilę zwątpiłam w Boga. Nie wiem, jak inaczej, niż brakiem Jego istnienia, można wytłumaczyć tragedię w postaci śmierci siedemnastoletniego Mikołaja. Przyjaciela rodziny, który zginął w wypadku, potrącony przez pociąg SKM. Szok przeszedł w złość, złość przeszła w smutek. Nie rozumiałam, jak Pan Bóg mógł na to pozwolić. A jednak wciąż się modłę i proszę Go, by nie odbierał mi moich bliskich.

Całe życie bałam się śmierci. Wciąż jestem przerażona. Nie myślę o niej codziennie, ale bywają noce, gdy spędza mi sen z powiek. Łatwo jest być odważną za dnia – w wirze wydarzeń, nie poświęcam tym makabrycznym myślom ani minuty. Nocą nie śpię, roztrząsając tę straszliwą kwestię.

Istnieją różne rodzaje śmierci. Ja dzielę śmierć na własną i cudzą. Idea śmierci własnej odbiera mi oddech. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co się ze mną stanie, gdy umrę. Moja religia twierdzi, że dusza jest nieśmiertelna. To pocieszające, lecz wciąż przerażające. Boję się bowiem nieznanego. Zastanawia mnie sam moment śmierci, jak również dalsza droga duszy. Może właśnie to budzi trwogę – ilość niewiadomych. Tym samym śmierć upodabnia się do matematyki (pojęcia podobnie paralizującego, acz odrobinię bardziej trywialnego). Całe życie oswajam się ze swoim „ja”, tylko po to, by w pewnym momencie przestało ono istnieć. Z całego serca wierzę, że jest mu (i mnie) dane poznać, co dzieje się z duszą po śmierci. Modłę się o Niebo. Jeżeli tam trafię, dam znać.

Śmierć cudzą pojmuję natomiast jako pustkę, co zdaje się myśleniem dość stereotypowym. Jednak prozaiczność przemyśleń nie umniejsza ich wagi. Martwi mnie nieuniknione nadejście dnia, w którym komuś z moich najbliższych przyjdzie odejść. To, co dręczy mnie najbardziej, to myśl, że nie zdążę się z nimi pożegnać. Dlatego rozciągłam rozstania, nawet te chwilowe. Okazuję emocje. Zapewniam babcię o mojej miłości, gdy mówię jej dobranoc. Boję się, że może się nie obudzić. Nie chcę brać rodziny za pewnik. Nie wiem, co przyniesie kolejny dzień. Choć nic nie złagodzi bólu straty, pragnę pewności, że odchodząc, moi bliscy wiedzieli, że ich kocham (dlatego nie nawidzę kłótni – widać, iż ktoś miałby umrzeć, gdy jesteśmy posprzeczani, napawa mnie jeszcze większym lękiem).

Skąd takie myśli? Choć trafiło mnie to już wcześniej, katalizatorem była oczywiście śmierć Mikołaja. To wydarzenie ogromnie mną wstrząsnęło. I choć nie znałam go za dobrze, znałam jego rodzinę. Wiem, że przed wyjściem mama nakrzyczała na niego, że spóźni się do szkoły, a tata odmówił podwiezienia go. Teraz już na zawsze będą wyrzucać sobie swoje ostatnie słowa, rozpamiętywać, co zrobili, a czego nie zrobili. Zginął pod domem. Rodzice, zaaferowani swoimi sprawami, otrzymali telefon o śmierci syna na torach kolejowych na Zaspie. Internauci pisali o „kolejnym samolubnym nastolatku, który rzucił się pod pociąg”. Nie wierzyłam w krzywdzące słowa ludzi, którzy w ogóle go nie znali. Tragedia tej rodziny była irytu-

jującym przerywnikiem dla osób jadących tego dnia do pracy. No cóż. Każdy z nas inaczej odbiera i pojmuje śmierć.

Minął rok, a ja wciąż nie mogę się pozbierać. Codziennie modłę się za jego rodzinę. O co proszę? Przecież nic nie przywróci Mikołajowi życia (choć na początku łudziłam się, że cała ta sytuacja to pomyłka, i na pewno niedługo znów go zobaczę). Apeluje więc o szczęście. Pragnę, by ta rodzina jeszcze kiedyś zaznała radości. Może moje modlitwy coś wskórały, gdyż czasem udaje mi się złapać uśmiech na twarzach jego braci. Jestem jednak przekonana, że wciąż toczą swoje wewnętrzne walki. Mogę tylko mieć nadzieję, że moje wstawiennictwo któregoś dnia przyniesie im ukojenie.

Przytoczę jeszcze jeden przykład intensywnej modlitwy, tym razem w intencji własnej. Trzy i pół roku temu przygotowywałam się do operacji, która wymagała anestezji. A jednak mojego przerażenia nie budziła sama choroba, a właśnie owa konieczność narkozy. Dlaczego? Po pierwsze, bałam się, że się nie obudzę. Po drugie... znieczulenie ogółem to całkowity brak świadomości. A czymże jest śmierć, jeśli nie właśnie utratą świadomości? Utożsamiałam zatem uśpienie ze śmiercią. Choć wszyscy wytykali mi brak logiki, jak można oczekiwać logiki od kogoś w takiej sytuacji? Zwyczajowo więc (bo już wtedy taki zwyczaj miałam) pożegnałam się z rodziną, gotowa (lub nie gotowa, zapłakana, przerażona), by zamknąć oczy. Odliczając, ostatni raz pomodliłam się o życie. Modlitwa nie zawiodła. Żyje. Ale nigdy nie zbagatelizuję tamtej grozy. Pamiętam to, jakby to było wczoraj.

Czy modliłam się ze strachu? Też. Ale modliłam się przede wszystkim z wiary. Bardzo mocno wierzyłam, że to nie może być koniec. Byłam taka młoda. Ale Mikołaj był jeszcze młodszy, a jednak jego życie się skończyło. Prawdopodobnie przed śmiercią nie zdążył się pomodlić. Odszedł od razu.

To ogromnie dużo – prosić o życie. Własne bądź cudze. Co właściwie mogę dać w zamian? Mogę coś obiecać. Lecz cóż Bogu po moich zapewnieniach, że nie będę grzeszyć? A jeszcze inna sprawa – jak czyjeś życie może zależeć od moich grzechów? Nie mogę targować się z Panem Bogiem. Nie mogę przysiąc czynić dobra w zamian za życie moich bliskich. Ale mogę dać Mu moje słowo i wierzyć, że On, widząc moje dobre uczynki, rozważy spełnienie moich prośb. Nie mam gwarancji. Pozostaje mi tylko wiara.

Jaki z tego morał? Nie mam pewności, kiedy śmierć nadejdzie. Łatwo zapomnieć o jej straszliwych skutkach, jeśli nie posiada się doświadczenia empirycznego. Serce mi pęka, gdy pomyślę o rodzinie Mikołaja. Boli mnie, gdy przypominam sobie moją własną historię. Staram się o tym nie myśleć. Moje zdrowie ma się dobrze, więc obecnie modłę się za innych, choć nie wiem, kiedy nadejdzie moment, gdy znów przyjdzie mi prosić o życie. Muszę jednak pamiętać, że modlitwa to wiara, a nie wymiana. Nie handluje z Bogiem.